Dedecius: Przecierpieć ich cierpienia

– Starałem się ukazać całokształt polskiej literatury, jej różnorodność i bogactwo. Wprawdzie mogłem skupić się tylko na poezji Różewicza, Herberta – byłoby pięknie, ale potem co? Puszcza, pustynia. Więc przetłumaczyłem trzystu autorów, wydałem około dwustu różnych antologii – mówi KARL DEDECIUS, wybitny tłumacz, krytyk i badacz literatury pochodzący z Łodzi. Rozpoczęły się obchody jego 95. urodzin.

Marta Skłodowska: – Na poświęconej panu wystawie w Muzeum Miasta Łodzi są kartki z korektami tłumaczeń wierszy największych polskich poetów, korespondencja z nimi i z innymi ludźmi kultury, wspólne fotografie, pana ulubiony pulpit do pracy. A jaki jest duchowy wymiar warsztatu tłumacza? Jakie cechy trzeba mieć, żeby tłumaczyć?

Karl Dedecius: – Po pierwsze trzeba się wyzbyć egoizmu. Jestem przekonany, że tłumaczyć jest trudniej niż napisać własny wiersz. Gdy piszę wiersz, to mogę napisać, co chcę, a tłumacząc, muszę pokonać wiele trudności – sformułować myśli i formy innego człowieka we własnym języku, to znaczy przecierpieć jego własne cierpienia. Poza tym wciąż zmienia się znaczenie słów. To, co przedwczoraj w Polsce znaczyło jedno, dzisiaj znaczy co innego. Dlatego tłumacz powinien dużo czytać, pogłębiać wiedzę, obcować z językiem, z którego tłumaczy, znać kraj, z którego pochodzą jego autorzy.

Ważny dla pana św. Hieronim na obrazach największych malarzy przedstawiany jest najczęściej przy pracy, w swoim „warsztacie" – celi uczonego. Jak wygląda pana „cela"?

– Oprócz słowników i maszyny do pisania w skład mojego warsztatu wchodzą rzeczy, które z pozoru nie mają nic wspólnego z pracą tłumacza, niemniej jednak sprawiają mi radość. Są to fotografie, podarunki moich przyjaciół, bibliofilskie wydania ważnych dla mnie książek. Klimat, w którym pracuję, był dla mnie zawsze ważny, bo jak warsztat bez atmosfery, to rezultat pracy będzie bez atmosfery. Więc od niego się zaczyna i o tym trzeba pomyśleć już za młodu. Ja miałem taką możliwość dopiero w wieku 30 lat, bo 10 lat mojej biografii straciłem przez wojnę i niewolę.

Na półce obok pana biurka stoi kilka teczek. Czy to książki, nad którymi pan obecnie pracuje?

– Każda teczka to jest nowa książka. W tej chwili staram się uporządkować teksty z czasów mojej młodości.

Zawsze pan podkreślał, że najbliżsi są panu poeci z pana pokolenia. Jak wybierał pan tych, których tłumaczył?

– Kierując się instynktem, gustem, wiedzą szkolną, ale te były ograniczone. Szukałem kontaktów z historykami literatury, polonistami, przedstawicielami kultury, wydawnictwami. Chciałem dowiedzieć się, co czyta się w Polsce, co się w niej publikuje. Najbardziej interesowała mnie twórczość moich rówieśników. Szybko natrafiłem na teksty Wisławy Szymborskiej, Zbigniewa Herberta, Tadeusza Różewicza czy Czesława Miłosza. Między innymi ich utwory zostały opublikowane w mojej pierwszej antologii literatury polskiej „Lekcja ciszy". Miłosz i Szymborska dostali Nobla dopiero 21 i 37 lat później.
W pracy tłumacza starałem się ukazać całokształt polskiej literatury, jej różnorodność i bogactwo. Wprawdzie mogłem skupić się tylko na poezji Różewicza, Herberta – byłoby pięknie, ale potem co?

Puszcza, pustynia. Więc przetłumaczyłem trzystu autorów, wydałem około dwustu różnych antologii. Tą najważniejszą była siedmiotomowa „Panorama literatury polskiej XX wieku”, obejmująca teksty znanych i mniej znanych pisarzy – jest to przekrój piszącej polskiej społeczności.

Łódź była miastem pana dzieciństwa, tłem pierwszych spotkań z literaturą, miejscem współistnienia wielu kultur i języków. Jednak po wojnie pan już tu nie wrócił…

– Nieraz pytano mnie, dlaczego nie wracam do Polski, ale do kogo miałem wrócić? Rodzice nie żyli, nawet nie wiem, gdzie spoczywają – mojego ojca podobno pochowano gdzieś w rowie, ale w jakich okolicznościach i kiedy, tego nikt mi nie powiedział. Bliska rodzina wyjechała „w świat”. Przyjaciele rozproszyli się po innych miastach, bo w Łodzi z różnych przyczyn zostać nie mogli. Po wojnie miałem tylko jeden adres mojej narzeczonej, a ona pojechała do Weimaru i tam na mnie czekała. No to i ja pojechałem za nią, i cóż… wyszło mi to na dobre, i Polsce chyba też. Bo Polska z tego korzysta, prawda?

Foto: Marta Skłodowska